OMNIBUS

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

Nulla dies sine linea.

III.

POZNAŃ.
W zleceniu księgarni Jana-Konst.-Żupańskiego.
NAKŁAD AUTORA.
1869.

Czcionkami J. I. Kraszewskiego w Dreznie.

† Magdalena z Żółtowskich Łuszczewska. — Kraj. — Z czasów Mikołaja I. przez naocznego świadka. — Demetrius Schillera. — Greuze. — Klemens Janicki przez Z. Węclewskiego. — Wacław Potocki przez A. Bełcikowskgo. Polowanie we Francyi. — Młoda literatura. — Wymowa Ge. Grant'a. — Michelet i Blanc. — Z odczytu Em. Levasseur. Pamiętnik Kielsiew'a. — Obrazy Rusi Czerwonej wydanie J. K. Żupańskiego. — Sprawa księżnej B... w Paryżu.

Dnia 17. Marca zmarła w Warszawie matka Deotymy.* — Śmierć ta dopełnia miary cierpień, na które podobało się Opatrzności wystawić jenialną poetkę.

Dawniéj już straciła siostrę,... potém towarzyszyła ojcu, na wygnanie wśród dziczy, gdzie nieraz o życie walczyć przychodziło pracą, odwagą — cierpliwością... Po powrocie do kraju zgasł ojciec, chorzała matka... naostatek i ta skończyła życie. Jenialna wieszczka została na świecie samą, gorzéj niż samą... otoczoną duchami przeszłości.

Na widok takiéj niedoli — korzy się umysł nie umiejąc pojąć ludzkich przeznaczeń, nie mogąc sięgnąć do dna téj strasznéj tajemnicy cierpienia.

* Magdalena z Żółtowskich Łuszczewska w towarzystwie znana pod imieniem Niny.

— Dla czego? — pyta się człowiek.

— Bóg — odpowiada cisza.

Tą świętą pieczęcią zamknięta dla nas księga wyroków.

Zmarła pani Łuszczewska, jak i mąż jéj pan Wacław zostawili po sobie w Warszawie trwałe i niezatarte wspomnienia. Wyliczy wam pewnie kto inny rozprawki pani Niny w Pielgrzymie, pisma pana Łuszczewskiego, ale to są najmniejsze z ich dzieł; najtrudniejszém do ocenienia a prawdziwie znakomitém było utworzenie w domu ogniska dla społeczeństwa, które ogrzewało i oświecało więcéj może niż jedną Warszawę.

W czasach tego terroryzmu Paszkiewiczowskiego i samowoli Mikołajowskiéj (które się nam dziś jeszcze stanem niemal błogim wydają) trzeba było niemałéj odwagi by otworzyć salon dla wszystkich, salon dla rozmowy, czytania, muzyki, sztuki. Wpływ tych Poniedziałków, z których dowcipnisie sobie szydzili, był niezmierny. Salon dostępnym był dla wszystkich, gospodyni dla każdego równie uprzejmą; bawiono się tu nie w obmowę i papla-Niny (jak żartował pan Leon) ale w to co szlachetniejsze budziło uczucia, co zagrzewało do pracy, co wiodło na dobrą drogę.

U pani Łuszczewskiéj arystokracya, wielcy pa-

nowie, mieszczaństwo, ubodzy artyści, świeżo obmyci neofici, wysocy urzędnicy, wędrowni artyści, świat co nic nie robi i co na chleb pracuje spotykali się jak na neutralnym gruncie, jako społecznie równi i równouprawnieni. Ale tu zasadą tego równouprawnienia było to właśnie co nią być jedynie powinno — wykształcenie, jeniusz, talent, zacność charakteru.

Na drodze praktycznéj (jak dziś mówić nauczyliśmy się) — pierwsza pani Łuszczewska ośmieliła się w salonie swym uznać równość wszystkich — dobrze wychowanych ludzi. Wpływ tych wieczorów poniedziałkowych, uwolnionych od wszelkiéj etykiety, na których nawet dopuszczono cygaro aby mężczyzn zmusić do dłuższego zatrzymania się, był bardzo wielki. Społeczności się one zasłużyły niezmiernie. Oprócz tego oddały innych przysług nie mało, wdrażając do zamiłowania literatury, dodając otuchy talentom, dając poznać młodych a pełnych nadziei poetów i artystów. — Mało który pisarz, malarz, rzeźbiarz, artysta dramatyczny, muzyk, nie wystąpił tu po raz pierwszy, nie został popartym poznajomionym w szérszém kole i dźwigniętym bez narażenia miłości własnéj. — Tu przyjmowano przybywającego Moniuszkę, tu admirowano pierwsze portrety Simmlera, tu dała się słyszeć zdziwionym

Doetyma, niejeden wiersz zabrzmiał, a nadewszystko niejedna kwestya sporna literacka została, jeśli nie rozwiązaną, to rozbiéraną i rzuconą na łup czynnym umysłom.

Na każdy z takich wieczorów gospodyni umiała wynaleść jakiś duchowny przysmak swym gościom. To téż każdy przejeżdżający bodaj przez Warszawę, miał sobie za obowiązek i zaszczyt przejść przez ten skromny salon, który wszakże był jedynym w naszéj stolicy.

Jakiéj umiejętności życia, dobroci, rozsądku potrzeba było, ażeby przez długi przeciąg czasu panować dosyć niestałemu towarzystwu — każdy to pojmie. W ostatnich dniach salon ten widział jeszcze obok siebie stojących Margr. Wielopolskiego i Hr. Andrzeja...

Tak samo w innych dobach spotykali się tu nieraz poeci i krytycy, najzapaleńsi liberaliści z najzaciętszemi orthodoxami, ludzie zdań najprzeciwniejszych, Sikorski który nigdy żadnéj muzyki prócz swojéj za dobrą nie uznał z jenialnym Moniuszką i Dobrzyńskim i t. p. Szatyński z Wł. Wolskiem, Zmorski może z Andrz. Koźmianem.

Było to jedyne miejsce w którém się spotykało wszystkich, w Niedzielę u p. Leona, w Poniedziałek u pani Niny. — Śniadania Łubieńskiego i wie-

czory Łuszczewskich, stanowią charakterystyczny rys życia Warszawy między 1832. a 1863.

Polityka była wygnaną *(et pour cause)* z obojga zebrań, ale nie było w literaturze, na scenie, w sztuce nic nowego co by się tu nie ukazało. — Dziś podobne wieczory w Warszawie wśród liberalnéj epoki, byłyby niepodobieństwem...

Pragniemy oświaty i usiłujemy ją szerzyć, chcemy rozwinięcia literatury — powinniśmy pamiętać o tém, że nie same książki są narzędziem do szczepienia miłości rzeczy wielkich, że żywe słowo, czynność społeczna są dźwigniami postępu może nad wszystko dzielniejszemi.

W historyi literatury polskiéj po 1830. roku, nie jako matka Deotymy, ale z własną zasługą, choćby jednego słowa nie napisała w życiu — zajmie należne sobie miejsce zacna pani Łuszczewska.

Pisać siedząc w kącie za stołem może jest łatwiéj, niż oddziaływać na zdrętwiałą społeczność żywym orężem słowa. Wieleż to razy gospodyni musiała staczać walki i podejmować się wykładów, aby lekkomyślne sądy złamać lub ciemnotę pięknych pań nieco oświecić!!

Pamięć ludzka... krótka niestety, niewdzięczność wielka... zapiszmyż na téj ulotnéj karcie choć kilka słów należnéj czci dla zgasłéj matki Deotymy.

Jeśli się kiedy ukażą z téj epoki pamiętniki, którego ze stałych mieszkańców Warszawy (mamy jednego niedawno zmarłego na myśli) — dadzą one lepszy, bardziéj szczegółowy wizerunek tych wieczorów poniedziałkowych... w przeciągu lat tylu coraz odmiennych, zawsze jednych a nowych.

Pani Magdalena Łuszczewska była córką niegdy jenerała wojsk polskich Żółtowskiego; żoną dyrektora wydziału przemysłu i handlu... matką dwóch poetycznych talentów... a zdaje mi się że liczba tych których opiekunką nazwać się mogła, obrachować się nie daje. Nie sądzę, by komu kiedy zaszkodziła, a w pomoc przyszła wszystkim niemal talentom współczesnym.

Na kilka miesięcy przed ukazaniem się dziennika „*Kraj*“ obudzał on już zajęcie powszechne; dopytywano, obiecywano, nie wierzono w zjawienie się nowego organu, któremu opinia powszechna z góry narzucała współzawodnictwo z *Czasem*. Było ono nieuchronném, gdyż dwa jednéj barwy i wartości dzienniki, w jedném ognisku są niepotrzebne i niemożliwe. Nowy musi z sobą przynosić coś nowego, musi mieć przyczynę życia. Na téj nie zby-

wało *Krajowi.* Galicya potrzebowała organu uczciwego, sumiennego, niezawisłego, przemawiającego w imie kraju, nie w imie osobistości jakiéjś ambitnéj, stronnictwa lub konsorcyów. — Ani strupieszały Czas, ani zbrukana Narodówka, ani dobréj woli ale słabych sił Dziennik, nie mogły starczyć w położeniu tak ważném a tak trudném jak obecne.

Ale stworzenie dziennika obok Czasu mającego imie, kapitał, klientelię, rutynowanych (wedle pospolitego wyrażenia) acz wyczerpanych redaktorów, pewne tradycye formy, stosunki, poparcie przeważne ludzi silne stanowisko zajmujących — stworzenie takiego dziennika łatwém nie było. Czas zachowawczy, orthodoxus, bankiersko-pański, wskazywał w swym współzawodniku niebezpiecznego opozycyonistę, wyraz rewolucyi społecznéj... obrzucał nowo rodzące się pismo najstraszniejszą w Galicyi famą... czerwoności. Nim się Kraj ukazał, już w pewnych kołach był osądzonym... Ale nie trzeba zapominać że i *Czas* oddawna téż znanym jest i wiedzą ludzie co trzymać o nim... Jest on najniezręczniejszym wyrazem partyi, która zwykle lepiéj się umie bronić i propagandę szerzyć.

W ostatnich latach stracił zupełnie poczucie przyzwoitości, wstyd i pozory bezstronności nawet; gotów był najlichsze elukubracye przyjmować byle

ideę i ludzi sobie przeciwnych obrzucać błotem. — W tym względzie nie ustępował już nawet prototypowi Narodówki.

Po długich oczekiwaniach „Kraj“ z podpisem swych właścicieli ks. Adama Sapiehy, Szym. Samelsona, Leona Czarlińskiego i Stan. Czarneckiego, ukazał się nareście. Ci którym się zdawało że powinien bardzo jaskrawo i gwałtownie wystąpić, mocno się zawiedli. Rozpoczął życie trzeźwo, ostrożnie, przyzwoicie, z godnością, z powagą, dorabiając się uznania, które bez żadnéj wątpliwości zyskać powinien. Nie jest to jeszcze idealny ów dziennik któregobyśmy pragnęli, ale w warunkach danych, lepiéj rozpocząć nie mógł.

Zdaje się z pilnego rozpatrzenia się w siłach którémi rozporządza Kraj, iż niema jeszcze tak złożonéj redakcyi, jakby pragnąć można. Bardzo słusznie jest umiarkowanym i ostrożnym, ale mógłby być żywszym nieco. Korrespondencye zostawiają wiele do życzenia, a część literacka, z wyjątkiem *Praxedy*, ważności pisma nie odpowiada.

W życiu naszém literatura zbyt wielką gra rolę, by ją zaniedbać lub lekceważyć można. Wolno *Czasowi* ignorować to wszystko czego pan Lucyan Siemieński nie lubi i co mu zawadza, ale *Kraj* winien zdawać sprawę z każdéj nowéj książki, na

imie to zasługującéj. Pewni jesteśmy że to dopełnić się postara.

Założyciele Kraju powinni o jednéj zasadniczéj prawdzie być przekonani, to że dziennik żaden nie zdobywa od razu wziętości, że na nią musi pracować i zasłużyć, że potrzeba żyć i trwać, zasiewać — by zbierać. Nowicyat może być długi, trzeba się na to przygotować.

Najsprzeczniejsze, nienawidzące się organa Czas i Narodówka, zawierają z sobą sojusz przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi. Taktyka to prosta bardzo ale obrzydliwa, przewidzieć ją było trudno, znieść należy.

Niepowinien się Kraj obawiać uczciwéj polemiki, bo walką tylko żyją pisma czasowe. Kto się jéj lęka, ten się w ich szeregi zaciągać nie powinien, niech siedzi za piecem.

Ale w walce trzeba dać przykład uczciwości, któréj niema Czas i Narodówka, stać przy zasadach a ignorować osobistości, uznawać prawdę gdzie ona jest, choćby w nieprzyjacielskim obozie, wymierzyć słuszność choćby niemiłéj osobistości; karcić nawet przyjaciół — ale karcić po kapłańsku nie po intrygancku i po kuglarsku.

Principiis obsta, stać powinno na czele dziennika; — ale obok poszanowanie zasługi, człowieka,

godności jego i przyzwoitości. — Nie wszystkiemi narzędziami uczciwi się ludzie posługiwać mogą, odrzucić brudne środki (jakich używa Czas) bo te nigdy do czystego celu nie doprowadzają.

A najwyższy rozum — cnota!

Z tém godłem Kraj wyrobi sobie stanowisko i będzie miał tę zasługę, że sponiewierane dziennikarstwo przez intrygantów i faktorów, podźwignie. Życzym mu tego i spodziewamy się że dokona zadania. Wytrwałości tylko i sumienia!

Naoczny świadek, opowiadał nam następujące z r. 1839. zdarzenie; zapisujemy je jako rys do historyi Mikołaja. W roku tym Mikołaj robił przegląd (Smotr) pierwszego moskiewskiego kadeckiego korpusu, złożonego z saméj szlachty. Komendantem był pułkownik Franciszek Światłowski (Franc Karłowicz) Polak, niegdyś oficer artyleryi w korpusie litewskim, który w r. 1831. będąc porucznikiem, oświadczył że się z braćmi bić nie będzie, za co przeniesiony do Rossyi, później przyłączony był do korpusu kadetów. — Każdy taki przegląd korpusu w którym było mnóstwo synów arystokracyi miejscowéj, tysiące miał ciekawych świadków.

W czasie przeglądu sztabs-kapitan Padłow (ósmego plutonu czyli kompanii) zmylił komendę; Mikołaj prędki zawsze poruszył się tém do wściekłości i zaczął wołać na całe gardło: Światłowski! Światłowski!

Cisza ogólna... Car zły... wszystko drży, ale Światłowski nie słyszy. Mikołaj powtarza — Światłowski! Pułkownik jakby był głuchym nie odwraca się.

Nareście pomiarkowawszy się Mikołaj woła nieco grzeczniéj:

— Panie pułkowniku Światłowski!

Pułkownik dopiero się odwrócił ze spuszczoną szpadą na znak że gotów jest spełnić rozkaz. — Rozgniewany car woła do niego: — Zkąd się u was wzięła panie pułkowniku ta małpa która dowodzi ósmą kompanią?

Światłowski odpowiada z uszanowaniem:

— Sztabs-kapitan Padłow, z konnéj artyleryi W. Cesarskiéj Mości rozkazem przeniesiony do 1. moskiewskiego korpusu kadetów...

Cesarz nic nie odpowiedział, prędko skończył przegląd, nie chwaląc ani ganiąc, odjechał gniewny. Jednakże nauka ta nie została straconą, w następnych latach nie odzywał się nigdy do pułkownika jak w bardzo przyzwoity sposób. Pomimo

swéj dzikości umiał poszanować niezależność charakteru... Światłowski został późniéj jenerałem, a umierającego cesarz obdarzył wielką wstęgą i uposażył wdowę i dzieci, gdyż Światłowski nie umiał kraść i umarł ubogim...

W r. 1846., opowiada ten sam — odbywał się w Peterhofie ślub córki Mikołaja Olgi Mikołajównéj — zjechało się nań mnóstwo zaproszonych książąt z Niemiec całych. Zwykła carska zabawa, najrozmaitsze przeglądy zajmowały gości. Mikołaj lubił się chwalić wojskiem swém i wychowańcami korpusów kadeckich. Kilkuset wychodzących z tych zakładów młodych ludzi zdawało egzamin na oficerów, który się zakończył strzelaniem do tarczy. Car był zadowolniony, kazał broń złożyć w kozły i powołał do siebie kadetów którzy kołem otoczyli Mikołaja stojącego w gronie całéj familii swojéj.

Car przemawiał właśnie dając naukę moralną przyszłym obrońcom ojczyzny i zachęcając ich ku wiernéj służbie, gdy najniespodzianiéj ukazała się dziwna postać przeciskająca, mimo zakazu z prośbą do cara. Był to zgrzybiały starzec, może dziewięćdziesiątletni, w mundurze starego kroju, obwieszony orderami dawnego fasonu... widmo z czasów Katarzyny... Był to odstawny niegdyś pułkownik. — Podszedł, padł na kolana i chciał od-

dać prośbę carowi; było to przeciw etykiecie. Mikołaj w jednéj chwili z najlepszego usposobienia i humoru przeszedł do wściekłości, któréj hamować nie umiał. W obec rodziny i obcych książąt car rzucił się na winowajcę i starca... kopnął nogą w ramię... pułkownik upadł na wznak. Wszyscy zbledli ze zgrozy, szczególniéj obcy książęta nienawykli do takich przygód.

Obecny następca tronu przestraszony i zawstydzony, gdy car się odwrócił, nadbiegł do starca, podniósł go, odebrał prośbę i usiłując zatrzeć wrażenie, przyrzekł że zostanie spełnioną. Na obietnicy się wszakże skończyło... i na skandalu...

Subordynacya moskiewska nie cierpi najmniejszego wyjątku... a żołnierz tak do niéj nawykł, że wiarogodni świadkowie mówią o następującym objawie uszanowania.

Żołnierz przechodzący ulicą począł się przypatrywać pięknéj papudze zielonéj siedzącéj na balkonie. Jeszcze się jéj przyglądał, gdy papuga wychowana znać w dobrém towarzystwie, poczęła krzyczeć po moskiewsku: Głupi! głupi! (Durak).

Żołnierz struchlał, natychmiast wyprostował się, zdjął czapkę i odezwał z pokorą:

— Darujcie wasze błahorodije... myślałem że jesteście ptakiem... nie mogłem wiedzieć że oficer.

W istocie pierwszym objawem urodzenia i stopnia w Moskwie jest łajanie i bicie. Gdy kto łaje a nadewszystko uderza, można być pewnym wysokiego urodzenia i stopnia wyższego. Policzek starczy za rekomendacyą.

Połajanie papugi było najlepszym dowodem jéj oficerskiéj rangi... żołnierz postąpił jak mu instynkt narodowy dyktował.

(Ze wspomnień A. L. hr. S.)

W Schillerowskim spadku została, jak wiadomo, część niedokończonéj tragedyi *Demetrius*, wziętéj z historyi fałszywego Dymitra, która — znać to z pism współczesnych — całą Europę niesłychanie zajmowała. — Schiller widział w niéj zadanie tragiczne mogące dostarczyć wątku do znakomitego poematu. Nie szło mu wcale o historyczną prawdę, o koloryt, o barwę wieku i walkę narodowości i idei, sytuacya była dramatyczna i nęcąca. Tragedyi téj wszakże osnutéj przez poetę zostały ułamki tylko. Zużytkowanie ich zaprawdę wielkiéj wymagało odwagi, było to dopiastowanie niedonoszonego cudzego dziecięcia, a myśl i dziecię cudze przyswoić sobie i wypełnić brak organizmu... nie-

pospolitém, niewdzięczném jest zadaniem. Zdarza się co chwila spotykać cudzę osnowę zużytkowaną przez kogoś, ale na pół wykończone dzieło, nader rzadko, a szczęśliwych takich dopełnień i przedłużeń — literatura niezna prawie.

Ułamki Schillerowskie i jego wątek, odważył się przecie wcielić w całość nową: Laube utalentowany dyrektor Lipskiego nowego teatru. Sztuka ta, obudzająca wielkie zajęcie, przedstawioną została d. 1. Lutego w Lipsku z wielkiem staraniem i przyjętą została bardzo dobrze przez słuchaczów usposobionych do dobrego przyjęcia.

Charakter Polski i jéj rola w Dymitrze, nie z najlepszéj malują się strony, całe polskie stronnictwo, aż do Lwa Sapiehy wystawia autor jako dość płoche, chciwe i w niekorzystném świetle. Za to w pierwszym akcie malowniczy jest obraz królewskiego dworu polskiego, który z przepychem przedstawiono. Dymitra wystawił poeta jako męża dobréj wiary, uczuć szlachetnych rzuconego w położenie nierozwikłane, w walce z popędami uczciwemi a zadaniem oburzającém. — Szczególniéj akt czwarty i sceny Dymitra z matką jego, robią wielkie na scenie wrażenie. — Miłość swobody nadana charakterowi narodu moskiewskiego, wydaje się dziwnie; ale Minin i Pożarski tém się autorowi

tłumaczą, chociaż w istocie inny historyczny noszą na sobie charakter. — Laube wywoływany po każdym akcie, zyskane oklaski złożył na ołtarzu Schillera.

Mają swe losy nietylko książki i pisarze, ale malarze i — obrazy. Moda wynosi jednych niezasłużenie, lekceważąc drugich również fantastycznie; dziś Rembrandt i Hobbema, jutro ktoś inny, pojutrze dziwactwo dźwignie zupełnie nieznaną postać, któréj nazwisko dotąd niepozyskało było praw obywatelstwa. — Była chwila gdy szkoły hiszpańskiéj obrazy ledwie zwracały uwagę, nadeszła potém dla Murilla apotheoza że się jego najmniéj dobre utwory na miliony ceniły. — Toż z niektóremi włoskiemi artystami; z francuzami i hollendrami.

Do wielce dziś cenionych należy *Greuze;* rozpowszechniony mnóstwem sztychów, ujmujący wyrazem swych twarzyczek dziewczęcych, chłopczyków, dzieci, nieporównany w sielankowych scenach wiejskich, tego rodzaju jak je pojmowano w XVIII. wieku.

Greuze urodzony w Tournus w r. 1725., pierwszy raz wystąpił z obrazem familijnego, cichego

szczęścia wśród najzepsutszéj społeczności Ludwika XV., obok pasterek Boucher i portretów pani Pompadour. Obraz ten „*Ojciec który biblią dzieciom tłumaczy,*“ uczynił tak ogromne wrażenie, iż artystę od razu sławnym uczynił.

W życiu jego pospolicie wymieniają ten szczegół, że żona służyła mu za wzór prześlicznych wieśniaczek które malował; wyraz jéj twarzy uśmiechnięty jest, łagodny, ujmujący. Tymczasem... historya grzebiąc w starych papierach odkryła świeżo iż to była najnieznośniejsza w świecie sekutnica... i gorzej jeszcze... Cudowna sztuki potęga unieśmiertelniła ją jako anioła dobroci, jako opiekuńczego anioła domowego ogniska.

Sam znowu Greuze, który sceny czułe i pełne rzewności najlepiéj malował, sławnym był z pychy i zarozumiałości.

Brat pani Pompadour, pan de Marigny wraz z Józefem Vernetem, obchodzili wystawę obrazów, szedł z niemi Greuze. Zatrzymano się przed jego obrazem *Zapłakanéj.* De Marigny po chwili odezwał się.

— Wiesz pan że to bardzo piękne...

— Tak, wiem, — odparł Greuze — piękne, chwalą mnie wszyscy, a roboty nie mam.

— Bo masz mnóstwo nieprzyjaciół, przerwał

mu Vernet, między innemi jednego, który niby cię do szaleństwa kocha, a w końcu cię zgubi.

— Kto taki? zapytał malarz.

— Ty sam! odparł Vernet.

Jakby to często i do wielu osób zastosować się dało!

Braknie nam dotąd historyi literatury, chociaż, mamy już ich wiele... ale, każdéj na czémś zbywa. Trudna téż rzecz napisanie książki o księgach z których treść ducha wycisnąć potrzeba... należałoby temu całe życie poświęcić — bez tego niemożliwa zrobić co innego nad lepienie i powtarzanie. Posłużyć się pracą cudzą niebezpieczna, a wreście i tych przygotowawczych monografii niemamy, nikt jeszcze dróg nie przetrzebił wielu, które gąszcze zarastają i jako gąszcze omijane są.

Większych nawet postaci literatury fizyognomie nie są jasne dla nas i wyraźne. Powoli jednak pojedyńczemi studiami wyrabia się lepsze o nich pojęcie.

Tak w roku przeszłym bardzo dobrą monografią Trenów i części poezyi Kochanowskiego dał nam F. Faleński, a oto teraz przybywa nam ciekawa

wiadomość o życiu, pismach, wydaniach i przekładach poezyi Klemensa Janickiego przez profesora Z. Węclewskiego. Z téj książki opartéj na pracowitych studyach i na niewydanych rękopismach (listach, epigrammatach) pilnie badanych, użytych umiejętnie, rośnie nam postać Janickiego wcale wyrazista.

Na swój czas zaprawdę zjawisko ciekawe, syn kmiecia wielkopolskiego ubogiego, dziecko wieśniacze, poeta laureatus... europejskiéj sławy. W dwudziestym roku życia już poeta łaciński wprawny, już ulubieniec Kmity, Krzyckiego,... uczeń Padewskiego Bonamica... ale biedaczysko schorzały, z Włoch, do których jeździł po życie, wywozi śmierć i po długiéj febrze, zabójczą puchlinę wodną.

Całe to życie ubiega mu na tęsknem śpiewie, na składaniu wierszy... na rozkochiwaniu się w niewiastach i na jakiemś chorobliwém nękaniu się swym losem.

Spotwarzono wszakże Janickiego, pomawiając go o życie rozpustne, przez złe zrozumienie jego poezyi...

Może jednym z najciekawszych obrazów elegii Klemensa jest wizerunek, który skreślił samego siebie. Jest on tak żywy iż zdajemy się nań patrzeć — a wieluż znaliśmy podobnych!

Słabéj budowy ciała, wątłych sił, że praca
Lada jaka niebawem one unużyła;
Postaci dość przystojnéj i twarzy pogodnéj,
Którą często rumienice, znak wstydu, zalewał.
Wymową łatwą wcale wspierał głos dobitny.
Na twarzy cery bladéj, słusznegom był wzrostu.
Urazy znieść niemógłem, a skłonny do gniewu
Wrażyłem go zacięcie często w sercu długo.
Nieprzyjacielem byłem otwarcie, nie skrytym —
Lecz waśni nie wszczynałem i nie podniecałem.
Stale czciłem przyjaciół, dobranych z rozwagą,
Nauczony, że skarb to jedyny, prawdziwy.
Gdyby los był udzielił mi majątek wielki,
Nie byłby mnie przewyższył nikt szczodrobliwością
Ni wystawnością. To też prawdziwie królewskie
Chwaliłem zwykle słowa rzymskiego cesarza:
„Żadnego dobrodziejstwa dziś nie wyświadczyłem,
Dzień więc bezużytecznie, wstyd wyznać, stracony.“
Skory do łez, miękkiego i czułego serca,
Miałem taką odwagę, jaką miewa jeleń;
Ztąd w nienawiści miałem zbroje i pallady,
Strasznej, kiedy do boju bieży, byłem wrogiem.
Wytworność, prawie jako niewiasty, lubiłem
Do przesady w pokarmach, stroju i wygodach.
Do dwudziestu lat jednak życia od dzieciństwa
Jedynie *czystą wodą* gasiłem pragnienie.
Snać choroba wątroby ztąd się wywiązała,
I ztąd dusi oddawna mnie wodna puchlina —

Może to właściwość poety, ale téż i wieku charakter się przebija w téj spowiedzi tak szczeréj i otwartéj, aż do wyznania błędów upokarzających, jak w szesnastym wieku brak rycerskiego ducha. Dziś by się na to żaden pono poeta nie zdobył.

Życie Janickiego należy do najoryginalniejszych losów poety. Podróż jego do Włoch, powrót do kraju utrapiony, stosunki z możnemi, miłość dla Elżusi... naostatek śmiałość z jaką syn kmiecia panom polskim prawdę wypowiada... są rysami téj biografii, którą p. Węclewski skreślił pierwszy raz jasno i dobitnie.

Obok monografii Klemensa Janickiego, stanąć może druga p. Ad. Bełcikowskiego o Wacławie z Potoka Potockim, znakomitym autorze poematu Wojna Chocimska, wydanego zrazu pod imieniem Lipskiego.

W tym wieku, w którym żył Potocki niemal on sam w Polsce prawdziwą poezyę przedstawia. Życie Potockiego ciche i skromne, pospolity żywot szlachecki a wiejski. Nie należy on do możnych a głośnych, ale do ubogich Śreniawitów Potockich rodziny, wywodzących się z tegoż domu dzielnicy

co Kmitowie. — Zrazu służył wojskowo, potém zasiedział się na wsi, w Łużnie na podgórzu Karpackiem. Śmierć syna oblékła mu życie żałobą, potém i pozostałych dwojga dzieci i żony. Osierocony pocieszał się pracą, zmarł pod koniec XVII. wieku.

Talent Potockiego odznacza się na swój czas znakomitą, niedorównaną, pełną energii i wyrazistości formą; a serce poczuciem upadku rzeczypospolitéj i narodu szlacheckiego... jeśli się tak z nim wyrazić godzi.

Grzechy nasze o Panie! za któremi w tropy
Na pierwszy świat chodziły ognie i potopy,
Dziś, nie w wodzie dla tęcze, nie w ogniu z Gomorą,
Ale się we krwi własnéj i czyszczą i piorą. —

Należy przeczytać p. Bełcikowskiego choćby dla jego obrony XVII. wieku; a cała téż rozprawa wielce na to zasługuje.

Zaproszony na polowanie do Francyi, Niemiec który przywykł do myśliwskich wycieczek obfitych w owoce... przybywa na zamek (wszystko się tam zamkiem nazywa co się na zamek zamyka); z góry ciesząc się nowością łowów... i *sportem*, wyśmie-

nitym, który mu przyobiecano. — Spieszył się tak syn Germanii, że jeszcze przyjaciela swego, którego Paryż zatrzymał, niezastał w domu, przyjmuje go wszakże łowczy i ofiaruje mu swe posługi.

— No — a cóż, idziemy na polowanie! pyta myśliwy.

— A jakże! a jakże, nazajutrz rozpocznie się od winnic... tam kosów pełno... znajdziemy ich podostatkiem.

— Hę? zdziwiony podchwytuje myśliwy, który nigdy jeszcze nie polował na kosy. — No — a potém?

— Potém, odzywa się łowczy, zajdziemy w dolinę, skowronków mnóstwo... Następnie pokażę panu parę cietrzewi o których wiem... może się nam uda je odszukać... W dolinie jest téż za błotem, mały stawek, gdzie w roku przeszłym widziałem kaczkę dziką. Jestem prawie pewny że to była dzika kaczka, ona tam jeszcze musi być.

— Ale jakże — przerywa zniechęcony Niemiec — czyż niemacie nawet kuropatw?

— Kuropatw! jakto! mamy! mamy kuropatwy! Pyta się pan czy są kuropatwy! a jakże! są! Ale z temi kuropatwami bieda okrutna! Było ich czté-ry... przeszłego miesiąca jednę zabił pan Margrabia, a drugą ranił śmiertelnie. Biedne stworzenie

dotąd się nie wylizało... Więc właściwie mamy tylko dwie kuropatwy. Jeśli się panu podoba, będziemy na nie polowali, tylko cóż na przyszły rok zostanie? Możeby pan tę ranną dobić chciał? toby przyszło łatwo...

— Ale na miłość bożą, zawołał zniecierpliwiony gość, nie macież lasu? zarośli i zajęcy nawet?

— Zajęcy! Ale są! pójdziemy w krzaki, mój pies je panu pokaże! Są zające! Jest ich trzy nawet... Jozefinka, Alfons i stary Adolf... Co się tyczy Jozefinki, téj tknąć się nie godzi, jest przy nadziei. Alfons się z nią ożenił, a że ma być ojcem rodziny, niepodobna go odrywać od obowiązków i zabijać! Nieprawdaż! to by było okrucieństwo! — Starego zaś Adolfa, jeśli pan sobie życzy, zabijemy! zabijemy! Już téż czas na niego. Pięć lat go pędzam i zabić nie mogę...

Co usłyszawszy Niemiec tłomok swój zapakował i nie pytając reszty, wrócił do ojczyzny... przyrzekając sobie że się na francuzkie polowanie więcéj nie skusi.

Obrazek z natury.

Jeszcze młody człowiek, ale tak świeży jak wczoraj nabrzmiały na śmiecisku grzyb, niechcąc ani pracować, ani żyć życiem obowiązku... wysuwa się za granicę. Tu w początkach zbija bruki obnosząc patryotyczne westchnienia... obchodzi salony z francuzczyzną ofiarując się za małżonka wszystkim słomianym wdowom mogącym pilno potrzebować sakramentu. Ale żywot ciężki, pożyczki zaciągane u przyjaciół nie wystarczają i w końcu zawodzą... industryjne wyciąganie pieniędzy z podróżujących, nie zawsze się udaje, choć najlepiéj obrachowane. Co tu począć? — po namysłach młodzieniec mówi sobie: — Czemużbym nie miał pisać, umiem trochę ortografii i mam wiele bezwstydu! Literatura trudniejszą być niemoże od służby przy starych paniach i kieszeniach arystokratycznych. — Rzekł i umoczył pióro... rodzą się bałamutne recenzyjki do pism, które byle darmo gotowe przyjąć co kto da; późniéj wkręciwszy się uzyskać można nawet czasem jakiego talara... Recenzye dają ochotę do powieści... powieść ma być rzeczą wypłacającą się. Ale zkąd wziąć powieść —? najprostsza rzecz w świecie. Bywało się po domach, znało różne piękne panie, więc spisać tylko co się przeżyło nie szczędząc skan-

dalu i urodzi się powieść licha, głupia ale skandaliczna... A pismo które dobrych nabyć nie może, nabędzie choć nędzotę, aby zapchać puste karty...

Na cóż to schodzi powoli nasza literatura!! Dawniéj szeregi jéj wypełniały się ludźmi ofiary, talentu, istotnego powołania, dziś zbiegami takiemi co z głodu gotowi rozszarpać rodzonego ojca byle z niego wydobyli sobie kawałek chleba, co własnego życia skandale frymarczą, w których niema ani iskry talentu, ani odrobiny nauki... Jeden kradnie komedye i przemaskowuje na scenę dając za swoje, drugi tłumaczy zapomniane romanse przedając je za jenjalne utwory własnéj muzy, trzeci nieostygłe jeszcze zaparawanowe przygody osobiste zamyka w ramy i podaje dla nauki i zbudowania podobnym sobie. Zaprawdę takiego kontyngensu brudów, nieudolności, takiego napływu awanturników jeszcześmy nie mieli nigdy. Korespondenci i współpracownicy Dziennika Warszawskiego, Czasu i t. p. stanowią w literaturze naszéj zupełnie nowe i smutne zjawisko... Rdza ta zapewne nie długo potrwa, zetrze się to i zniknie rzucone do rynsztoku... ale pierwszy raz coś podobnego mamy u nas... pierwszy raz taka hałastra literacka śmie brudnemi rękami zbliżać się do ołtarza... i ci co

na jego straży stoją tak mało on ołtarz cenią, że przypuszczają doń byle czém zapchać karty, kto się trafi.

Zawsześmy szacowali wielce tych ludzi, którzy wiele mówić nie lubią, a obfite mowy na galicyjskich stowarzyszeniach, które wszystkie się niemal w słowach rozpłynęły — potwierdziły nasze przekonanie iż milczenie i umiarkowanie w słowie są dowodem charakteru i znamieniem ludzi czynu. Dobrym przykładem być może generał Grant, dzisiejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Przed wyborem swym jeszcze przybył on do St. Louis odwiedzić chorego syna. W księdze podróżnych zapisał się po prostu — U. S. Grant z Chattanoga. Poznano go natychmiast, nie mógł uniknąć wydanego dlań obiadu przez obywateli miasta. Wzniesiono toast w pośród nieskończonych oklasków. Generał wstał — Gentlemen, ozwał się, za całą odpowiedź przyjmijcie podziękowanie moje.

Po obiedzie nastąpiła serenada, w czasie któréj gdy się na balkonie ukazał, tłumy znowu okrzykami go powitały, wołając i domagając się aby miał mowę. Generał milczał, wrzawa rosła — Mowa!

mowa! — Grant zdjął kapelusz i rzekł wśród uroczystego milczenia.

— Gentlemen, dziękuję za wyrządzoną mi cześć — mowy mieć nie mogę — nigdy w życiu jéj nie miałem, i nigdy się nie spodziewam zebrać na nią, proszę mi przebaczyć.

Wśrod okrzyków Grant zdjął raz jeszcze kapelusz, ukłonił się, dobył cygaro i zapalił je, stojąc ciągle na balkonie naprzeciw tłumu, który wołać nie przestawał:

— Mowa! mowa!

Puszczano fejerwerki... hałas był niezmierny, generał spokojnie palił cygaro, przypatrując się widowisku.

— Mowa! mowa! powtarzał tłum coraz hałaśliwiéj — mowa!

Otaczający Granta poczęli go skłaniać aby przemówił choć słów kilka i uspokoił tłum; jeden z przyjaciół położył mu rękę na ramieniu i odezwał się:. — Powiedzcież im choć, że bić się za nich umiecie, a mowy prawić nie wasza rzecz... choć to...

— Chyba z was kto za mnie to powie, rzekł Grant, ja i tego nie potrafię.

Lud ciągle krzyczał — Mowa!

Nareście Grant znudzony sparł się na balkonie, puścił kłąb dymu i odezwał się.

— Panowie moi! mowy prawić nie moja rzecz... Nie umiałem nigdy i nigdy tego nie potrafię — dziękuję wam żeście się tu zgromadzili.

Na tem skończył i wycofał się.

W przedmowie piątego tomu historyi rewolucyi francuzkiéj, Michelet, który ma wielu przeciwników w wielbicielach fanatycznych ludzi owéj epoki, odzywa się: „Odczytanie Buchez'a zabrało mi całe lata (40 tomów), nad dwunastą tomami p. Ludwika Blanc'a siedziałem dobry kawał 1868. roku. Ledwie dyszę. Aż tu przybywa przyjaciel niosąc z sobą księgę p. Hamel'a, *(Historyą Robespierr'a)* zbitą we trzy ścisłe tomy bardzo drobnego druku. „Miałeś do zbytku, będziesz zarzucony...“ Szkoła to przerażająca płodnością swoją. Ileż czasu dopóki się to wszystko przeczyta! Ponieważ napadają na mnie na każdéj karcie, obrachowałem, że, co najmniéj, trzeba na to lat dziesięć. — Czy pożyję tak długo? wątpię. Ale jeśli mi się uda, będę krytykował krytykę tak, by również lat na przeczytanie potrzebowała. Poczynam to, i otwarcie uprzedzam.

Czy myślą że oni tylko sami mają papier i atrament? Tak z obu stron, odpowiadając sobie i zbijając odpowiedzi, mamy czém życie zapełnić szczęśliwie!" (T. V. xxv—xxvi.)

P. Emil Levasseur, w *Collège de France*, rozpoczął lekcyę wstępną, historyą faktów i teoryi ekonomicznych; wyjmujemy z niéj zakończenie tylko następujące:

„Gdzie się poczyna, dokąd zmierza cały ten ogromny ruch handlowy świata? Z dwu krajów, które nie zajmują ani setnéj części przestrzeni ziemskiéj, — z Europy zachodniéj i północno-wschodu Stanów Zjednoczonych. Londyn i Paryż z jednéj, New-York z drugiéj strony, mogą się za ognisko uważać. — Ku nim obu spływają i schodzą się ze wszystkich całéj kuli ziemskiéj stron, lądami i morzami, materyały wszelkiego rodzaju które natura zakopała w minach lub rozrzuciła w florze i faunie różnych klimatów, kruszce, drzewo budulcowe, herbata, korzenie, aromata, bawełna, kawa, cukier, jedwab, skóry zwierząt. Tu się to wszystko przerabia w rękodzielniach ludów zachodu, przeistacza na mnóstwo płodów w części zaraz na miej-

scu samém zużytych. W części téż płody te są wywożone, rozchodzą się znów i rozsypują w różne części świata, nawet w te zkąd przyszły jako surowy materyał, za który w zamian je dają. Tak tedy, ziemia cała przynosi bogactwa swe przyrodzone tym krajom, a one starczą przemysłem swym na podsycanie ciągłego obrotu. Współcześnie, gdy przez świat cały bieży ten prąd skupiający się i rozpływający na przemiany, szerokiem korytem przebiega także ruch w obu kierunkach Europę i Amerykę, z Ameryki wracając do Europy i przedziera się wewnątrz jednéj z nich, starszéj cywilizacyą, dotąd bogatszéj jeszcze, to jest Europy zachodniéj. Tu trwa nieustannie jakby wir zamian, który sam przechodzi ważnością swą o wiele, handel całej kuli ziemskiéj. Tak, że gdyby porównać cyrkulacyę handlową świata z cyrkulacyą krwi w zwierzętach, można by rzec że dwa te kraje są jakby podwójném sercém, dającém życie i ruch handlowi kuli naszéj. — Czemu one są winne tę własność swoją! Przestrzeń zajmowana przez nie jest stosunkowo nie wielka; ziemia z natury żyzniejszą nie jest nad inne; kraje te nie mają najgęstszéj ludności. — Ale narody które w nich zamieszkują przewyższają inne energią w pracy, swobodą, inteligencyą i nauką, kapitałami nagroma-

dzonemi... jedném słowem, tu człowiek więcéj wart niż gdzieindziéj — oto cała tajemnica tego przyciągania które wywierają na bogactwa i panowania nad światem.

Widowisko to, stanowiące fakt najrozleglejszy jaki nauka badać może, bo zamykający sobą świat cały, nie jest li głosném potwierdzeniem tego prawa zasadniczego nauki, które na początku przywiódłem — że człowiek jest zarodem i ostatecznym celem bogactwa."

W Petersburgu wyszły w przeszłym roku — wspomnienia Bazylego Kelsiew'a, niegdy zwolennika i współpracownika Hercenowskiego. Kielsiew powróciwszy do kraju, wydrukował je pod tytułem: „*Przeżyte i przewalczone.*"

Kielsiew tłumaczy się naprzód co go pchnęło na drogę opozycyi przeciwko rządowi, wspomnienia Decembrystów 1825. r. i książki zakazane. — Filozofia, jak powiada, wyrobiła z niego utopistę. Nadeszła wojna krymska, młody człowiek zapalił się do bohaterstwa wojskowego i już był napisał prośbę, chcąc się jako ochotnik zaciągnąć, gdy

ochotników przeznaczono do rezerwy i — prośba została podarta.

Po wyprawie krymskiéj Kielsiew w celu naukowym wybrał się za granicę. W r. 1859. postanowił wyemigrować i został w Londynie; zaprzągłszy się między rewolucyonistów. Z Anglii z pasportem tureckim objechał granice Rosyi i najdłużéj zatrzymał się w Dobruczy. Pełno tam było moskiewskich emigrantow, których wcale nie prześladowano: — Stowarzyszenie „Ziemi i swobody“ rozpowszechnione — przecież do czynu nie obudzało — ani Kielsiewowi, ani nikomu rewolucyi wywołać się nie udawało.

W czasie powstania polskiego Kielsiew posłany był jako ajent do Księstw Naddunajskich. W końcu przykrzyć mu się zaczęła, jak powiada, nieskończona jednostajna gadanina o wolności i postępie, nie prowadząca do niczego i poczuł że tę rewolucyą, któréj oni żądali *rząd sam robił* daleko skuteczniéj. W r. 1863. cholera zabrała mu żonę i dziecię, został sam jeden. Stał się mizantropem. Z mizantropii przeszedł do rozumowania że jako emigrant krajowi się na nic nie przyda, że potrzeba mu powracać. Lękał się wszakże aby go przyjaciele nie nazwali zdrajcą.

Walczył tak z sobą — ale myśl powrotu i tę-

sknota go męczyły. Poszedł na radę do Konstantego Stepanowicza kuczera w Jassach, któremu z chęcią powrotu się zwierzył. Ten ją pochwalił, ale słuchająca ich rozmowy przy herbacie siostra kuczera, płacząc i łamiąc ręce zawołała: — oni cię w łańcużki okują i po żelaznéj muzyce popędzą...

Kielsiew sam był pewny że go to czeka, ałe się tą obawą nie zrażał.

Kuczer przyrzekł mu do granicy go doprowadzić — a gdy ujrzeli ją Kielsiew pokłonił się witając ojczyznę.

Przebywszy Prut stanął Kielsiew na brzegu, gdzie go o pasport zapytał oficer, pokazał turecki niewizowany, kazano mu napowrót do Mołdawii. W chatce strażniczéj przybyły napisał prośbę do urzędu poddając się rozporządzeniom krajowym. — Jednakże kazano mu nazad się przez Prut przeprawić i urzędnik ofiarował się tam z nim rozmówić. — Gdy Kielsiew ponownie prosił aby go do kraju bądź co bądź puszczono i przyjęto, choćby uwięziono nawet, urzędnicy nie mogli go zrozumieć zrazu, tak się to im wydało dziwném. — Cóżeś Waćpan przewinił! spytano go.

Kielsiew oświadczył że w Londynie był w spisku rewolucyjnym z Hercenem i miał udział w polskiem powstaniu, narzucając się gwałtem aby go

do więzienia brano. — Kazano mu spisać zeznanie, poczém jacyś grzeczni pograniczni oficerowie zaprosili go na śniadanie — bifsztyk i butelkę czerwonego wina.

Również gościnnie przyjęto go w powiatowym miasteczku — wieczerzą... jednakże ze wzruszenia zachorował. Wyprawiono go z dwoma aniołami stróżami do Kiszeniewa... Tu już coraz wyżej... nie szło tak gładko.... zatrzymano go w więzieniu, zapytując co z nim robić. — Zabrano mu książki, tytuń i wyznaczono celę wysoką w turmie . . . w której pozostał z myślami — żalami i trwogą która się teraz dopiero rodzić zaczynała. Znać że pierwszy raz siedział w kozie, gdyż okienko we drzwiach przez które wiecznie się mógł obawiać oczów straży, niesłychanie go męczyło. — Okuty więzień brzęcząc łańcuchami przyniósł mu jadło, chleb czarny i polewkę w któréj pływały kawałki słoniny. Łyżki brakło, ale mu drewnianéj pożyczył więzień. Nie długo jéj wszakże używał bo i supa i chleb były nie do przełknięcia...

Zaczął patrzeć w okno... wpadli żołnierze pytać go po co tak długo w oknie siedzi? Położył się na tapczanie; tu mu spocząć chodzący przy drzwiach szyldwach nie dawał, bo niemogąc go zobaczyć, stukał i wywoływał go.

Dano mu wreście pokój.

Opis téj kozy, dla ludzi co z nią zrobili znajomość jest jeszcze bardzo mdłemi skreślony barwami — Kielsiew był w tak wyjątkowem położeniu, skrucha jego tak jawna, że mu téż chętnie folgowano. Kazano późniéj wysłać go do Petersburga. Szczególnemu swemu położeniu winien był ten osobliwszy więzień że po drodze przez zachodnie prowincye spotykało go niezasłużona wcale sympatya, o któréj wspomina wymieniając Żytomierz szczególniéj. — Nie wielką mu tém wyrządził przysługę. Po drodze spotkała ich wiadomość o wystrzale Berezowskiego, co więźniowi dało uczuć się także... oburzenie powszechne spadało naturalnie na owego więźnia politycznego. Kielsiew opisuje podróż przez Pińskie błota, przez część Mińskiego. Dopiero w Pskowie uczuł się na swéj ziemi, bo mu jeszcze wszystko wyglądało obco. Na stacyi w Ostrowie wsadzono go na koléj... i powieziono do Petersburga. Osadzony w twierdzy Piotro-Pawłowskiéj zwał się Numerem Czwartym; i pozostał od 15. Czerwca do 23. Grudnia 1865. Cała historya dzięki okazanemu żalowi skończyła się tém, że go powołano przed sąd i powiedziano mu: — jesteś pan wolnym, cała przeszłość zapomniana, możesz się udać dokąd chcesz, cesarz raczył cię ułaskawić.

To szczęście winien był temu że się nie zwał — Polakiem.

Radość jego była tak wielką, że mu się zrazu w głowie zakręciło, nie śmiał wierzyć rzeczywistości!

Reszta wspomnień jest już czysto polityczną gadaniną ku czci tych których łaski doznał.

Wypadek Kielsiewa, zamknięcie dzwonu Hercena, dowodzą tego co dla nas oddawna było widoczném, przejednania systemu dzisiejszego z ideą rewolucyjną, poślubienia krańcowego radykalizmu. Nikt tego nad nas lepiéj nie czuje.

Obrazy Rusi Czerwonéj przez Władysława Zawadzkiego, z rysunkami Juliusza Kossaka, wyszły u Żupańskiego w Poznaniu. Książka ładna, miła i bogdajby podała myśl podobnego odmalowania wszystkich części dawnéj Polski. Pióro i ołówek składają się na odtworzenie tego starego, dobrze nam znanego świata, który codzień pod różnemi wpływy się mieni.

A! ta stara Ruś jak my ją pamiętamy, ten kochany lud rozśpiewany, tęskny a miły i serdeczny, jak że przemawia do serca każdego kto się wykołysał tą piosenką i zbracić umiał z obyczajem.

Niech co chcą mówią i piszą ci coby nas rozbratać teraz pragnęli i postawić z Rusią w walce, od któréj serce się wzdryga — najlepszem świadectwem staréj miłości dla téj ziemi, to że i ona od nas wiele wzięła i myśmy się u niéj zapożyczali. Któryż z obywateli Rusi, pochodzenia polskiego czy ruskiego, nie pokochał języka, nie nauczył się przysłowiów, nie ulubił téj poezyi smętnéj, którą to całe życie przesiąkło... niech co chcą mówią, dwór i wieś stanowiły jedno, póki szatan nie rzucił niezgody ziarna. Szli panowie w kumy i gromada nieraz do dworu i rozumieli się dobrze i kochali się serdecznie i choć wszędzie zły się znajdzie, we dworze i w chacie zarówno... życie jakoś płynęło po Bożemu...

Wróci to czy nie, wspomnienie przeszłości miłe i Ruś nam stara miła i kochana...

Nic wierniejszego nad obraz troskliwie wykończony który nam daje Zawadzki, nic śliczniejszego nad rysunki do niego Juliusza Kossaka. Pierwociny téj pracy miał tygodnik illustrowany ale w książce zebrana całość zyskuje niezmiernie. Niektóre z illustracyj Kossaka są natchnionemi obrazami i napatrzeć się ich niemożna, tak pełne prawdy upoetyzowanéj serdecznie.

Najprzód krajobraz Podolski... jak zajrzeć rów-

nina zbożem falująca... a w wąwozie ukryte siedzi sioło z cerkiewką i gruszami zielonemi.

Po nad drogą krzyż... monument drewniany który pobożność wystroiła w blachy świecące, w rzeźbę malowaną... i pokryła daszkiem i obwiesza chustami... Jak zajrzeć po łanach... sterty gdyby domy... popodpierane, stare... Chleba dosyć!! Przodem chłopak pędzi z końmi na paszę. Ale jak!! młoda krew gra w nim i w rozhasanej czwórce... aż tętni gościniec... hu! ha!

Daléj — patrzcie, stado wołów podolskich po pas w zielonéj trawie na Pantalisie... a w drzémiącej wodzie chodzą bociany... i w dali ino pole a pole... bo Podole polem całe a przeżyzném.

Ta ruina na górze — to Jazłowiecki zamek... Góra pod nim połamana w skały a u wierzchu wieża otłuczona i ścian kilka na pół w gruzach... Kawał ten muru mówi wiele niemotą swoją... jakby po przeszłości płakał... Grobowiec to innego życia. Bramy otworem, okna otworem, a gdzie kamień się rozsypał, trawa zasiała i wygryza go do reszty.

Pastuszków przy drodze Kossak gdzieś złapał na uczynku... Chłopak worem się nakrył więcéj dla fantazyi jak z potrzeby, a dziewczęta w kwiatki przystroiły... młody artysta gra pewien siebie.

Cerkiewką podolską z dzwonnicą i owe święte-

czne bekiesze i kożuchy i białe namitki... czuć Niedzielą... A co ludu dokoła!! Arendarz się cieszyć musi.

Typ *dobrodzieja*, parocha unity, do którego wyświeżona niewiasta przychodzi z kurą pod pachą... schwycony przewybornie. Jaka stoicka zimna krew! co za podanie ręki do pocałunku!

Ten sam wdzięk i prawda jest w Kołomyjce, któréj pierwsza para daje całą tańca charakterystykę. (Przy Kołomyjce, Bóg wie czemu, przyszedł nam na myśl hr. Gołuchowski i x. Litwinowicz z pozaprzeszłorocznéj uczty!)

Macie tu i arendarza i niezrównanych żydów a żydowice, *à la mode antique*, jakich już w Polsce niezobaczyć i drzémiącą wioskę podolską i parę szkap w przyjacielskiéj zadumie, i stroje wieśniacze i południenek pracowitego chłopka zajadającego z bliźniaków przez żonę przyniesionych, ślepego lirnika z powodyrem... a nakoniec pogrzeb wiejski, obraz takiéj tęsknicy i uroku, jakby go wyśpiewał poeta. Jest to jeden z najpiękniejszych pomysłów Kossaka. Na zachodzącém słońcem oświeconém niebie sunie się pochód żałobny, dwa woły ciągną trumnę gospodarza... idzie za nią dobrodziéj, bractwo ze świecami i długi, długi szereg ludu oświecony blaskami jaskrawemi ostatnich dnia promienia...

Jarmark ożywiony, przypominający Orłowskiego, powrót z miasteczka wesoły... Hailka, taniec tajemniczy, dziwaczny z prastarych czasów pewnie, — Obżynki i Korowaj kończą ten zajmujący wielce zbiór, jedno z najpiękniejszych dzieł Kossaka — gdyby nie było illustracyi p. Tadeusza.

Obraz p. Zawadzkiego sam przez się jest bardzo cenny, ale mu te wdzięczne, przewyborne drzeworyty, dodają niezmiernego życia, wypełniają go szczęśliwie...

Wkrótce po wynalezieniu druku, instynktowo sztuka drukarska weszła w śluby z drzeworytnictwem; późniéj nieco wzgardzono i zaniedbano illustracye, które są starych dzieł ozdobą i objaśnieniem nieocenioném. W XVIII. w. sztuka xylografii prawie zupełnie była upadła, w XIX. ją dźwignięto i doprowadzono do szczytu doskonałości. Dosyć się przypatrzeć wydaniom paryzkim, naprzykład historyi malarstwa Blanc'a. — Sztych na blasze nie może być delikatniejszym, swobodniejszym. U nas w Warszawie szczególniéj drzeworytnictwo podnieśli Unger, Münchhejmer, i Kłosy S. Loewenthal'a. Nieoceniona to zdobycz i dla sztuki i dla nauki, ułatwionéj dziś przez dodanie do tekstu figur, które są stokroć wymowniejsze od najlepszych opisów. Życzyć by należało Lwowu, Poznaniowi i Krakowu,

ażeby Warszawie sprostały i postarały się o umiejętnych drukarzy, gdyż najlepszy drzeworyt odbiciem niedobrem, wiele traci.

Gdy te kartki zostaną wydane, historya tego Polaka, którego nazwisko szczęściem tak przez dzienniki przekręcone zostało że go rozpoznać nie można — już będzie zapewne w niepamięci pogrzebioną. Warto ją jednak ku własnéj naszéj wydobyć nauce i ukazać w takiem świetle w jakiem ona jest w istocie. Szczegóły te mamy z autentycznego miejscowego źródła — a imiona są niepotrzebne...

Młody człowiek, płochy, próżny, udający panicza, czepiający się rujnującéj wesoło młodzieży, przybierający sobie tytulik, który mu się wcale nie należał, przybył do Francyi na — hulankę...

Jakiś czas to udawanie bogatego młodzieńca, *d' un fils de famille* zawsze się powodzi, ale dzban nie długo nawet nosi wino i — ucho się urywa...

Panicz nasz za pośrednictwem jednéj z tych łatwych do zawiązywania znajomości pań paryzkich... poznaje kobietę bez wychowania i nie dawno prostą szwaczkę rodem z okolic Narbony, zwaną eufemicznie Madame Anna de Narbone.

Zdaje się że po wszystkich malowania francuzkiego — *Półświatkach i Loretografiach* nie mamy potrzeby charakteryzować téj pani łakomej grosza i... znajomości. — Młody człowiek niemając wiele pierwszego... musiał ułatwieniem drugich się wywdzięczać za względy i przyjmowanie w towarzystwie, którego przyjemności drogo się opłacają...

Za jego pośrednictwem przyjacielskiém pani Anna z Narbonny porobiła przyjemne stosunki z kilką utracyuszami...

Interesa były tak ciężkie dla młodego panicza iż niekiedy musiał swe... listy zastawne (poprostu kwity z lombardu) oddawać pięknéj pani do... przechowywania. Znajomość więc była bardzo bliska, ścisła i poufała.

Niewiadomo gdzie ów młodzieniec wielkich nadziei zrobił znajomość, czy był przedstawiony pewnéj pani w świecie paryzkim znanej pod nazwiskiem *Mère Bénoiton.* Tytuł książęcy okrywał ją blaskiem, zresztą bardzo już przygaszonym życiem fantastycznėm. Oboje państwo niemieli sobie nic do wyrzucenia, mąż mamy Benoiton żył niezbyt prawidłowie.

Jaki był stosunek młodego Polaka do téj wietrznéj francuzicy, Bóg raczy wiedzieć, ale wyobrażał sobie że gdyby książe nie stał na zawadzie, może by się z nią mógł ożenić.

Reszta téj tragikomedyi należy do pani Anny z Narbony, która głupiego chłopaka wyciągnęła na słowo, wpędziła w zastawione sidła, osnuła cały plan, a doprowadziwszy do dojrzałości, poszła z nim spowiadać się policyi.

Niema wątpliwości że to wszystko było dziełem kobiety przewrótnéj, chcącéj sobie zrobić reklamę... kosztem dwóch ofiar...

Koniec téj sprawy najlepiéj dowodzi że tu ktoś inny prowadził pokryjomu intrygę, a we Francyi wnoszą z nakazanego wyjazdu za granicę samego księcia, że on niebył obcy temu...

Procesu nawet niebyło, cukierki wcale nie okazały się zatrute...; ale łatwowierni Francuzi radzi że mogą Polaka oczernić, gotowali się na owacyą dla księcia i dla pani z Narbony... Jockey-Club miał jéj ofiarować... na dar jeszcze nie było zgody...

Mogło by to być przykładem do czego złe, nikczemne, plugawe towarzystwo, rozpusta i płochość doprowadzić mogą!! czem są te malowane lalki paryzkie i ten świat hulaszczych ludzi, o który niepodobna się otrzeć by niezwalać... Późniéj dopiero odkryje się prawda cała — ale plama, zostanie.